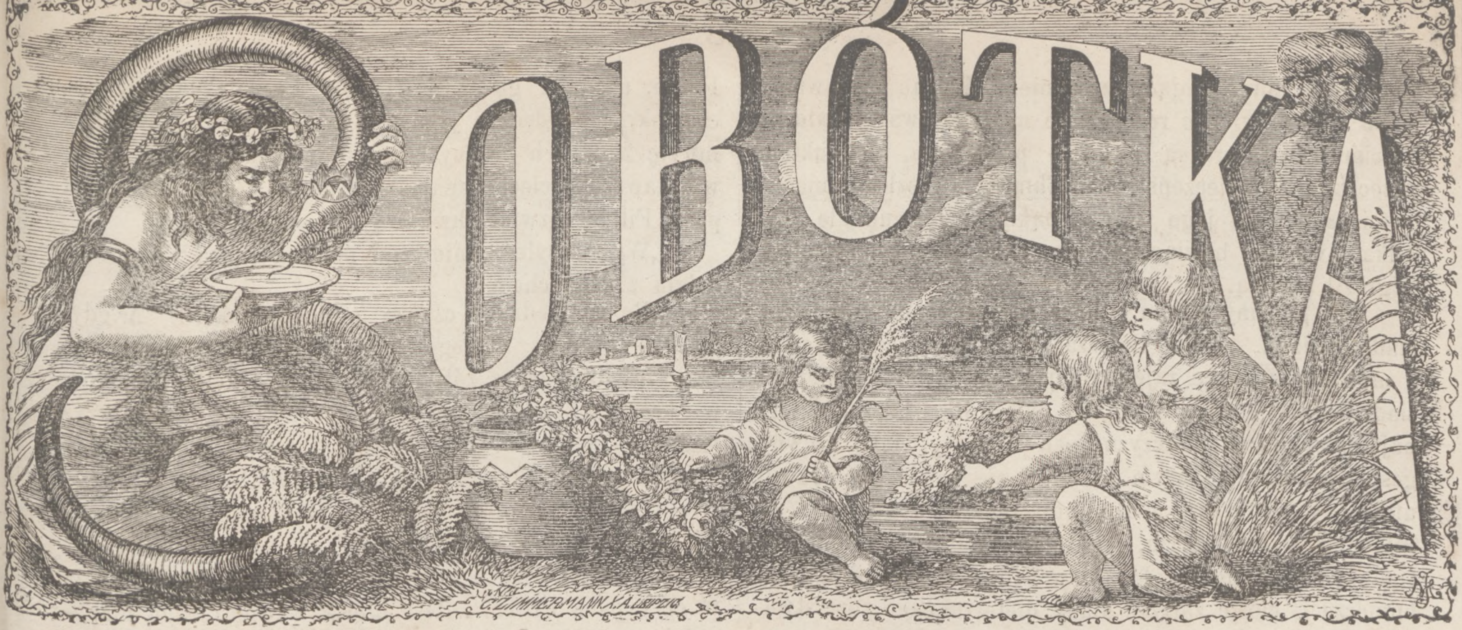


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 28. Poznań, dnia 9 lipca 1870. Rok II.

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

Ksiądz milcząc palił cygaro, ale radość wewnętrzna malowała się na jego twarzy.

„Ho, ho!“ ciągnął dalej pan Filip „a toć chłopaki jak pszczoły obsiedli ją dokoła. Będzie kogo z kwitkiem odprawiać, księże proboszczu, bo konkurentów zwali się nie mało. No, prawdą i Bogiem, to i pannie czas za mąż proboszczu. Przecież ja ją niemal na ręku piastował przed laty, jeszcze za życia mojéj Kunusi, która ją pieściła jak matka. Panna mieć może z dwadzieścia latek... dwadzieścia... Czas za mąż dziewczęciu, czas za mąż...“

Ksiądz proboszcz obawiał się téj rozmowy, niecierpliwił się widocznie i milczeniem zakończyć ją postanowił. Ale pan Filip nie zraził się bynajmniéj.

„Mówiąc między nami, księże proboszczu, to tu jest kilku porządnych chłopaków, którym śmiało powierzyłbym córki.“

Proboszcz skierował się zwolna ku gronu bawiącéj się młodzieży.

„Ot, księże proboszczu!“, ciągnął dalej z pewną poufałością pan Filip „kiedyśmy już wpadli na ten temat, niechaj mi będzie wolno przyjacielską wypełnić usługę. Jeden z naszéj młodzieży, chłopiec porządny, nie głupi, zamożny, — znam go jak zły szeląg księże proboszczu, bo to mój sąsiad i przyjaciel serdeczny, — ot, co tam obwijać w bawełnę, zakochał się na śmierć w pannie Zofii. Ale nieśmiały, nieśmiały jak baranek, księże proboszczu!... Spowiadał mi się ze swoich afektów, biedakowi pomoc przyrzekłem i chciałbym dotrzymać obietnicy. Ksiądz proboszcz domyśla się, o kim mówię?...“

Proboszcz zniecierpliwił się na dobre. „Przestańmy o tém, panie Filipie“, odparł szorstko, przyspieszając kroku, „Zosi czas jeszcze do zamęścia, a zresztą sprawa ta do mnie i do niéj tylko należy!“

„Ostatnie słóweczko, księże dobrodzieju!“, błagalnie ciągnął pan Filip. „Chciałbym raz przecie uiścić się z danego przyrzeczenia. Dałem je synowi mego sąsiada, Bartłomiejowi Matusińskiemu i dla niego to proszę o względy...“

Takiego zakończenia nie spodziewał się ksiądz proboszcz. Spojrzał więc groźnie i badawczo w oczy pana Filipa, jak gdyby tajniki jego duszy do głębi zbadać usiłował, a widząc w nich tylko dobroduszność i rozczulenie, uwierzył w szczerość jego zamiarów „Ten błazen!“ odpowiedział rubasznie, nie mogąc dłużéj utaić swego gniewu. „Mój panie Filipie, pochwalam twoją usłużność, ale proszę cię raz na zawsze, ani słowa już o tém!...“

„Ani słowa, księże proboszczu!“ odpowiedział rzewnie pan Filip i z westchnieniem spuścił głowę na piersi.

Grono młodzieży powitało obydwóch głośnym okrzykiem, panny pośpieszyły księdza pocałować w rękę, a rozkoszny p. Filip, zapewne dla pokrycia wewnętrznéj zgryzoty, wśród ogólnych śmiechów, z figlarną Kachną rozpoczął „kotkę i myszkę“.

Scenie opisanéj co dopiero przyglądał się pan Wa-

leny, bezmyślnie stojąc przy oknie. Widząc wymowność pana Filipa, widząc rozczulenie na jego twarzy, widząc niecierpliwą i groźną postawę proboszcza, instynktem przeczuł niebezpieczeństwo. Chmura straszliwéj nienawiści osiadła na jego twarzy, bąknął niezrozumiale słów kilka i wesoło bawiącemu się panu Filipowi ściśniętą pogroził pięścią.

Pół godziny potém całe towarzystwo do sutego zasiadło obiadu. Pani Baltazarowa, jako najgodniejsza z matron, pierwsze zajęła miejsce, po lewéj stronie zasiadł ksiądz proboszcz, daléj pan Filip, jako wiekiem najstarszy wśród mężczyzn, pan Walenty, jako krewny gospodarstwa na szarym usadowił się końcu, po prawéj umieściły się damy podług starszeństwa i godności, a młodzież w mięszanym, jak to nazywają, porządku bie siadujące zamknęła koło. Pan Filip w wybornym był humorze i, chcąc zatrzeć ślady niefortunnego poselstwa, nasępionemu księdzu przeróżne prawił dykteryjki; pan Walenty milczał jak kamień i ponuro na talerz spoglądał, Piórkiewicz słodko uśmiechał się do wszystkich, pani Petronela po raz setny kolligacye swoje opowiadała sąsiadkom, Kubuś swawolną Kachnę pobudzał do wybuchów wesołości, Bałabartek Zosię płaskiemi obsypywał grzecznostkami, a Felicia i Misia, w nieswojem czując się towarzystwie, niesmaczne nastroiły minki. Ogólne prawie milczenie, zaspakajaniem ogólnego spowodowane apetytu, zwolna w gwarliwą zamieniło się wesołość. Wymowa pana Filipa jak potok wezbrany huczno i szumnie pełném płynęła korytem. Pan Filip wzniósł zdrowie gospodarza, zdrowie gospodyni, zdrowie państwa młodych, zdrowie księdza proboszcza, zdrowie pani Baltazarowéj, a przy każdym wiwacie górnolotną palnął oracyjkę, unosząc się szczególniéj nad uroczystością téj chwili. Piórkiewicz w monotonnéj, słodkiéj i jak najczystszą polszczyzną wygłoszonéj mówce dziękował szanownemu gospodarstwu, że kiedyś wykształcenie téj anielskiéj duszy, wyższym obdarzonéj polotem, w jego złożyli ręce, pan Tomasz serdecznie podziękował zgromadzonym, że zaślubiny jego córki obecnością swoją uświetnić raczyli, a pan Filip nakoniec przy wetach kieliszkiem szampańskiego wina spełnił staropolskie „Kochajmy się!“ i ognistą mową o zgodzie baraterskiéj, jedności wesołą zakończył biesiadę.

Pół do piątéj na ściennym wybiło zegarze, kiedy zgromadzeni goście na poobiednią wyruszyli przechadzkę. Starsze damy zwolna bitą postępowały drogą, panowie stojąc na podwórzu, gospodarczą bawili się pogadanką, a młodzież jak zrana rozsypała się po lesie. Zosia z właściwą zakochanym przebiegłością odłączyć się zdołała od reszty towarzystwa i, samotnie zbierając kwiaty, do miejsca umówionéj podążała schadzki. Ale w chwili, kiedy zupełnie czuła się bezpieczną, głośne „hop, hop!“ niemałym napełniło ją przestrachem i z poza gęstych krzaków, z dębowym wieńcem na głowie, z płomienną twarzą i rozpromienioném okiem, uśmiechnięty wyskoczył pan Filip.

„Ho, ho, ho!“ zawołał figlarnie „panna Zofia samotnie błądzi sobie wśród lasu i kwiatki zbiera i duma i wzdycha!... „To nie dobry znak dla młodéj panny... Widać, że jakiś złodziéj zakradł się do serduszka!...

Zosia od lat dziecinnych przywiązaną była do pana Filipa, uważała go za przyjaciela, za opiekuna niejako, częstokroć, serdeczną jego ujęta wesołością, spowiadała mu się ze swych drobnych smutków i niepokojów i prawie zawsze pociechę znalazła u niego. Ztąd też widok pana Filipa rozwiał chwilową jéj obawę.

„Wystraszyłeś mnie pan, panie Filipie!“ odpowiedziała z uśmiechem:

„Bo na złodzieju czapka gore, panienko!... A gdyby tak zamiast starego pana Filipa, wysunął się jaki młodzieniec z żółtym wąsikiem, żółtą czupryną, w krótkim spencerku, z którym się tak przyjemnie szczebiotało przy obiedzie, tobyś się panienka jeszcze więcéj przestraszyła, nie prawdaż?“

Pomimo żartobliwego tonu, jaki pan Filip rozmowie téj nadać się starał, Zosia od razu przeczuła coś złego, pobladła lekko na twarzy i błagalny wzrok utkwiła w oczy pana Filipa. Ten objaw wewnętrznego niepokoju pan Filip zgrabnie ku swoim wyzyskał zamiarom.

„Spokojnie, spokojnie, Zosieńku!“ ciągnął daléj poufałym tonem, jakiego w ważniejszych używał okolicznościach „nikt się przed czasem o téj tajemnicy z ust moich nie dowie. Ludzie tak są złośliwi, tak pełni podejrzeń, że na język im wchodzić nie trzeba. Dla tego ostrożnie powiadam, Zosieńku, ostrożnie i skrycie aż do stanowczéj chwili. Pan Walenty w imieniu Bartosia niezadługo oświadczy się o twą rękę, ksiądz proboszcz nie będzie miał nic przeciw temu i romansik skończy się weselem. Lecz teraz ostrożnie, powtarzam, ostrożnie!...“

Zosia pobladła jak ściana. „I pan, panie Filipie, wziąłeś się na moją zgubę!“ cichym szepnęła głosem. Na twarzy pana Filipa nieopisane odmalowało się zadziwienie. „Co tobie, Zosieńku?“ zawołał troskliwie. „Uspokój się, proszę Cię, uspokój... Przecież ja właśnie pomoc wam przynoszę. Jeżeli chcesz dziś jeszcze pomówię z proboszczem.

„Czym ja pana prosiła o pomoc?“ gniewnie podnosząc czoło odpowiedziała Zosia, któréj siły potęgowała rozpacz.

„Mam prawo do tego“, odparł pan Filip z dźwiękiem urazy w swym głosie. „Kocham cię jak własne dziecko i od lat wielu drugim ci jestem opiekunem. Gdy chodzi o szczęście całéj przyszłości twojéj, nie mogę być obojętnym i bezczynnym.“

„Ale ja go nie kocham, nie cierpię, nienawidzę!“ rozpaczliwie zawołała Zosia.

„Nie kochasz go?“, zapytał pan Filip i o trzy kroki odskoczył z zadziwienia. „Ale to źle, to źle, Zosiuniu!“ ciągnął daléj podniesionym głosem i z widocznym niepokojem na twarzy. „Trzeba działać, działać co prędzéj!“ Pan Walenty lada chwilę oświadczyć się może, ksiądz proboszcz może przyobiecać, a chociaż cię zmuszać nie będzie, to zawsze niesnasków, swarów, plotek wylęgną się tysiące!...“

Zosia ślepo wierzyła panu Filipowi, słaba jéj dusza myśli oporu i domowych niepokojów przenieść nie mogła i serce straszną napełniło się obawą.

„Panie Filipie!“, zawołała z pałającą twarzą, „panie Filipie, zaklinam cię na twoje ojcowskie ku mnie przywiązanie, na pamięć twojéj żony, która matką dla mnie była prawdziwie, na wszystko co świętém jest dla ciebie, zapobiegnij tym nieszczęśliwym

oświadczynom, powiedz panu Walentemu, że syna jego nie kocham i przekonaj księdza proboszcza, że odmowną dać musi odpowiedź!...

„Cicho, cicho, Zosieńku!“ zawołał pan Filip. „Otrzyj łezki, rozwesel twarzyczkę, bo właśnie zbliża się ktoś do nas. Dzisiaj przed wieczorem zobaczemy się raz jeszcze, ułożymy plan wojny, bo wojna to będzie zupełna, nauczę cię jak masz postępować, a wszystko dobrze się skończy. Tymczasem cicho i spokojnie.“

W téj chwili z poza drzewa zadyszany wysunął się Bałabartek, z ogromnym w ręku bukietem.

„Szukam, szukam, panny Zofii“, mówił jąkając się ze zmęczenia, „szukam po wszystkich krzakach i drzewach, myślałem, że się gdzie w ziemię schowała. Właśnie rozpocząć mamy cenzurowanego i tylko pani nam braknie. Ale oto bukiecik kwiatów uzbierany po drodze. Racz go pani przyjąć na pamiątkę téj chwili przyjemnéj!...“

Zosia machinalnie przyjęła bukiet i, chcąc pokryć swoje zmięszanie, z pośpiechem oddaliła się w głąb lasu. Bartoś chciał jéj towarzyszyć, ale pan Filip z tajemniczym do niego zbliżył się uśmiechem i dłonią zatrzymał na miejscu.

„Nie kompromituj pan dziewczyny, panie Bartłomieju!“, z przyjacielskim zawołał wyrzutem. „Zawojowałeś jéj niewinne serduszko i teraz zwycięstwo swoje przed całym chcesz pokazywać światem. Nie opuszczasz jéj na chwilę, obsypujesz ciągle bukietami, komplementami, dziewczyna rumieni się po uszy i ze wstydu kryje się przed ludźmi. Daj jéj pokój, panie Bartłomieju, dosyć ci będzie tryumfu, jak ją na ślubne zaprowadzisz kobierce!...“

Bałabartek zaśmiał się szczerze, z miną tryumfatora, pan Filip, zawtórował mu i obadwaj, śmiejąc się i gawędząc, zbliżyli się do grona młodzieży, gdzie właśnie rozpoczęto „talara.“

Tymczasem Zosia, ochłonąwszy z przerażenia, szybkim krokiem wybiegła z gęstwiny i brzegiem lasu pod umówiony podążyła drogowskaz. I od drogowskazem, obok wiernego gniadosza, stał Staś zadumany i posępne czoło pochylił ku ziemi.

„Odjeżdżaj, odjeżdżaj!“, zawołała Zosia lękliwie oglądając się do koła, „ścigają nas, szpiegują zapewne, a gdyby nas kto spostrzegł, bylibyśmy zgubieni!...“

„Tylko słowo, Zosienku“, odparł Staś z gorączkowym niepokojem. „Przyjeżdżam cię o nowém ostrzedz niebezpieczeństwie.“

„O nowém niebezpieczeństwie!“, smutna spoglądając na Stasia, zawołała Zosia, „jakież dla nas nowém być może?“

„Ojciec mój domyśla się naszych stósunków, chcąc je zerwać na zawsze, ożenić mnie zamierza niezadługo.“

Zosia w nieméj boleści patrzyła w ziemię.

„Zawiózł mnie wczoraj do pana Baltazara i z najstarszą jego córką swatać mnie zamyśla. Przyjęto nas bardzo uprzejmie i związku tego życzą sobie widocznie.“

„A więc nie pozostaje nam nic więcéj, jak tylko rozłączyć się dobrowolnie“, drżącym głosem odpowiedziała Zosia starając się wzruszenie spokojną pokryć twarzą.

„Nigdy, przenigdy!“ odparł Staś, gorączkowo chwytając jéj rękę.

„A więc co czynić?“

„Co czynić?“ zapytał Staś, wzruszając ramionami, i skołataną głowę oparł na karku gniadosza.

Nastąpiła chwila rozpaczliwego milczenia. Słabe te dusze, nie mając siły i woli żadnego dla siebie nie widziały ratunku. Podobna ostateczność groziła im od dawna, widmo jéj nie jednokrotnie zatruwało chwile ich szczęścia, ale przezorność nie jest udziałem takich charakterów. „To rzecz daleka jeszcze... z czasem stosunki zmienią się zapewne... niechaj nam obawa przed przyszłością, obecnéj nie psuje rozkoszy“, — oto zwykłe wyrażenia, jakiemi zakochani myśl grożącego niebezpieczeństwa rozwiać usiłowali, jakiemi słabą krzepili nadzieję i niepewnéj przyszłości różowe nalawali barwy.

„Jednym ratunkiem jest zwłoka!—“, odezwał się Staś nakoniec, załzawione podnosząc oczy.

„Jednym ratunkiem jest odwaga i krok stanowczy!“ odparła Zosia, przypominając sobie radę przyjaciółki. „Zwlekać nam dłużéj niepodobna, albo rozłączmy się dobrowolnie, albo wyjawmy rzecz całą i otwartą rozpocznijmy walkę.“

„Wyjawić?“, zawołał Staś z widocznym przestrachem na twarzy. „I jakich w takim razie spodziewać się możemy skutków? Rozdzielą nas gwałtem, ścisłą otoczą strażą i nienawistne przyśpieszą związki.“

Myśl stanowczego oporu przechodziła siły biednego dziewczęcia. Zosia pochyliła głowę i rzewnemi zalała się łzami.

„Nie płacz, nie płacz, Zosieńku!“, zawołał Staś pieszczotliwie, własne tłumiając wzruszenie: „Jeszcze stanowcza nie zbliżyła się chwila, jeszcze nam czas do głębokiego pozostaje rozmysłu, jeszcze ostatniéj nietraćmy nadziei. Gdyby pomimo méj woli ojciec mój jakie kolwiek chciał uczynić zobowiązania, natenczas wyjawię wszystko i bezwzględnie opierać się będę. Tymczasem Bóg nam dopomoże!...“

W téj chwili w głębi lasu, w blizkości zakochanéj pary, odezwała się pieśń: „Polak nie sługa“, monotonnym, kościelnym zanucona głosem. Staś szybko dosiadł gniadosza i wyciągniętym puścił się galopem, a Zosia, ślady łez otarłszy na twazzy, z bijącem sercem rzuciła się w gęstwinę, gdzie ją słodko uśmiechnięty Piórkiewicz miarowym przywitał ukłonem.

„Pan mnie szukasz zapewne?“ gorączkowo zapytała Zosia, siląc się na uśmiech życzliwy. „Zabawa rozpoczęła się od dawna, a ja jeszcze błądzę po lesie!“

„Nie dziwię się“, słodko odpowiedział Piórkiewicz „Cóż piękniejszego być może nad samotną wśród lasu przechadzkę!... Ta dziewicza, rozzieleniona przyroda, te drzewa pnące się ku niebu, ten śpiew ptaków, ten szum liści, jak wzniosłe wzbudzają w nas uczucia, jak pięknemi napełniają nas myślami!... Ś. p. ks. Antoniewicz z cichéj celi swojego klasztoru chętnie wychodził do lasu i w tym kościele przyrody, na skrzydłach natchnienia ulatał ku Bogu!...“

Piórkiewicz, wyższym uniesiony polotem, wysnuł na tym temacie cały poemat pełen górnolotnego liryzmu, przytoczył kilka wierszy z Sybilli, kilka miejsc z listów Antoniewicza i przyrzekł swéj uczennicy przeczytać nie zadługo stosowny i przepiękny wierszyk Karpińskiego. Zosia słuchała go w milczeniu i z widocznym smutkiem na twarzy zbliżyła się do miejsca zabawy, gdzie mło-

dzież właśnie urządziła „cenzurowanego.“ W jéj gronie znajdował się pan Filip. Zosia na wyraźną prośbę zgromadzonych, obchodzić musiała siedzące koło, a pan Filip coś długo, długo szeptał jéj do uszka, widocznie coś zabawnego, bo twarz dziewczęcia rozjaśniła się zwolna i rumieniec radości wystąpił na lica!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Strzeż łzy w oku.

Pókiś jeszcze sercem młody,
Póki jeszcze pieśń swobody,
W duszy twojéj gra:
Marzysz wszystko co szlachetne,
Chwytasz tylko to, co świetne,
Co czyste jak łza.

Lecz gdy burza lat pomiecie,
I rozgoni cudne kwiecie,
Młodocianych dni.
Już cię wiosna nie zachwyci,
Nie pogonisz złotéj nici,
Co gdzieś w górze lśni!

Świat — młodego, zwabi zdradnie
I z wszystkiego cię okradnie,
Coś mu ufny niósł:
Źródło uczuć mrozem zetnie,
I kwiat strąci co tak świetnie,
Na dnie serca rósł.

Pierwsza — pęknie strona wiary,
Co do serca jak do czary,
Lała czarów ton...
Potem rozpacz się rozgości;
Pierś zostanie bez miłości,
Jak bez serca dzwon.

Z pustką — w pustym staniesz świecie...
A świat z oczu łzę ci zmiecie,
Jako rosę z róż.
Sny czarowne wiatr roztrzęsie;
Oh, i nigdy na twéj rzęsie,
Łza, nie błyśnie już.

Na płacz sierot u podwoi,
Braknie echa w duszy twojéj,
W oczach braknie łzy...
I na braci jęk daleki,
Suche będziesz miał powieki,
Skrzepłą pierś, bez skry!...

Rozpacz głucha z nocą czarną,
Jak w pajęczą sieć ogarną,
Biedne serce twe.
A ty, Boga, nadaremnie
Będziesz błagał przez te ciemnie,
Choć o jedną łzę!

O! kto strwoni łzy zawcześnie,
Ten już przejdzie świat boleśnie,
I legnie bez czci.
Niby konar z pnia odgniły,
Bez pacierza do mogiły
Pójdzie i bez łzy!

Poznań, 21 czerwca 1870 r. Wł. Bełza.

Słów kilka o malarstwie i malarzach w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Z niemałą obawą przystępujemy do kreślenia rysu epoki ostatniéj. Mnogość młodych malarzy jest taka, że najtreściwsze ich wymienienie przeszłoby już zakres nam pozostawiony. Brak materyałów do szczegółów życia żyjących artystów, niepodobieństwo wydania sądu o talentach będących w pełnym rozkwicie, pracę tę utrudnia bardziéj jeszcze i czyni do pewnego stopnia drażliwą. Ograniczyć się więc nam wypada na treściwéj wzmiance o najznakomitszych, a w sądzie o nich iść za głosem najwytrawniejszéj i najbezstronniejszéj krytyki.

Po roku 1830 naród pozbawiony nawet nowin życia politycznego, przyciśnięty i spętany, cofnął się niejako w samego siebie, i z tém większem zamiłowaniem zwrócił ku rozkoszom duchowym, że w pieśni lub obrazie znajdował pamiątki drogiéj przeszłości, pod inną formą surowo zakazane.

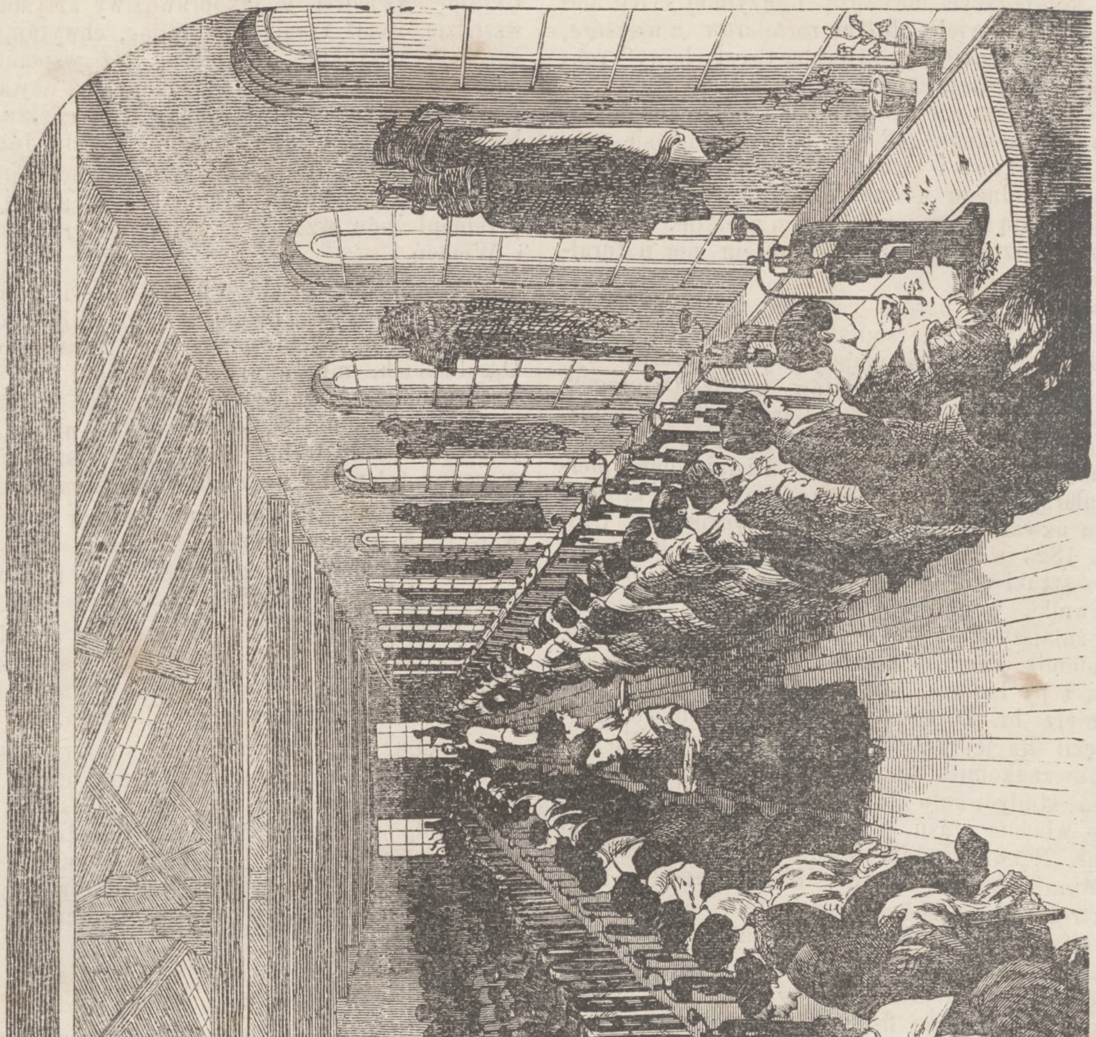
Z drugiéj strony, młodzież odepchnięta od wszystkich zawodów publicznych, zmuszona do względnego spokoju, rzuciła się na drogi artystyczne, by na nich służyć krajowi, rozdmuchiwać iskrę miłości ojczyzny, dorabiać się sławy i rozgłosu.

Szkoła Sztuk Pięknych w Warszawie, szkoła malarstwa przy uniwersytecie krakowskim, pracownie prywatnych malarzy zaczęły się coraz więcéj zapełniać, a choć z téj liczby probujących, wielu ustało w drodze, wielu nie wyszło po za granice mierności, inni natomiast rozpoczęli tu zawód im i krajowi zaszczyt przynoszący.

Towarzystwo zachęty przyjaciół sztuk pięknych najprzód w Warszawie, potem w Krakowie stały się potężną pobudką temu kierunkowi, który po r. 1850 stał się tak gorączkowym, tak absorbującym, że się przeciw niemu wystąpił w znanéj broszurze p. Julian Klaczko.

Dziś liczba naszych malarzy, mających pewien rozgłos dochodzi z pewnością setki, a prace każdego roku wykonywane, gdyby były razem zebrane, stanowiłyby bardzo piękne galerye.

Nestorem żyjących dziś malarzy i razem artystą, który łączy dawno ubiegłe z dzisiejszemi czasy, jest zgrzybiały, a zawsze jeszcze pracowity i pełen zapału January Suchodolski. Siedemdziesięcio przeszło letni starzec już w r. 1810 był w korpusie kadetów, a w r. 1816 podporucznikiem gwardyi pieszéj. Pilny i zdolny rysownik, malować jednak zaczął dość późno a z przed 1830 r. znane są tylko jego kopie z galeryi Ossolińskich. Dopiero mając lat blisko 36 wyjechał do Rzymu, a następnie lat cztery pracował pod



Fabryka piór stalowych.

kierunkiem Verneta. Odtąd jednak płodność naszego artysty stała się zadziwiającą. Począwszy od „śmierci Władysława Warneńczyka“ wystawionéj w Warszawie w r. 1830 aż do „patrolu kozackiego“ który w roku przeszłym na wystawie krakowskiéj widzieliśmy, oryginalne jego kompozycye dochodzą olbrzymiéj cyfry 550 obrazów, z których wiele, dużych rozmiarów, a niektóre, jak „Śmierć Czarneckiego“, „Obrona Częstochowy“ rozpowszechnione sztychem, znane są całéj Polsce.

Suchodolski jest przedewszystkiem malarzem historycznym, a w tym znów rodzaju, powodzą mu się najlepiéj sceny wojskowe i bitwy. W koniach jego szczególniéj znać zdolnego ucznia Verneta, a kompozycye i układ odznaczają się ogniem i ruchem wielkim. W ostatnich obrazach grzeszy czasem kolorytem nie naturalnym i manjerowanym.

Dzieła jego są bardzo cenione. 19 kompozycyi znajduje się w galeryi petersburskiéj, wiele także w Wiedniu i w Turynie. Ze sławniejszych jego obrazów wymienić należy: „walkę legionistów na St. Domingo“, „Bitwę pod Raszynem“, „przejście Berezyny“ i „Jadwigę.

Drugim znakomitszym jeszcze malarzem koni, rywalem monachijskiego A d a m a, jest dzisiaj jeden z pierwszych malarzy naszych Juliusz Kossak, którego każda nowa akwarelia jest nowém arcydziełem. Urodzony w r. 1824 w Wiśniczu pod Bochnią, mimo wrodzonego do sztuki popędu, kształcił się jednak pierwotnie na prawnika w uniwersytecie lwowskim. Ale taki talent potężniejszy jest nad wszystkie rachuby ludzkie. Młody akademik zamiast studyować pandekta, rysował karykatury, typy ludowe, konie. Zobaczył to dobry znawca Kazimierz hr. Dieduszycki, ocenił zdolność ogromną, zachęcił do jéj kształcenia i zaprosił do Niesłuchowa, gdzie znakomita stadnina dawała pole młodemu artyście do studyowania pięknych zwierząt z natury. Około tego właśnie czasu, w r. 1845 inny Dzieduszycki razem z hr. Rozwadowskim sprowadzili do Jarczowic pod Zborowem prawdziwe araby. Kossak całe dnie i tygodnie portretował pyszne te stworzenia, odtwarzał je w najrozmaitszych porach, badał ich charakter, naturę, ducha, jeśli się tak wyrazić można. Takiéj też szkole, takim studyom z natury zawdzięcza zapewne nasz artysta, że konie jego mają fizognomie i wyraz, że każdy z nich jest całością skończoną że jeżeli rży wesoło, to zda się głos słychać, jeżeli pędzi to naprawdę, jeżeli się lęka to drży skóra na nim... Bo konia bez błędu namalować nie jest zapewne łatwo, ale tak go stworzyć jak Kossakowi prawie zawsze się udaje, wlać weń ten właściwy rasie, użytkowi, położeniu i wrażeniu chwilowemu charakter, może zaledwie dwóch lub trzech dziś malarzy w Europie potrafi.

Nie dość jednak było poznać i wystudyować konie w stajniach lub na paśnikach, trzeba było zobaczyć i inne ich rasy, obejrzeć owe stepy klasyczne, na których starego Mohorta bujały tabuny. Kossak więc w towarzystwie p. Mysłowskiego zwiedził Wołyń, Podole, Ukrainę, zwiedził je jak prawdziwy artysta, zbaczając wszędzie, wciąż rysując, studjując, chwytając naturę na gorącym uczynku. I zapewne też wspomnieniom téj podróży zawdzięczać należy przepyszną akwarellę, w tym roku w Krakowie wystawioną, a przedstawiającą Mohorta, który stado swe pokazuje księciu Józefowi.

Ztamtąd z Branickim razem odbył podróż po Rosyi, był w Moskwie i Petersburgu, a już w r. 1852 przebiegł znów wzdłuż i wszerz Węgry, zwiedził Peszt i Wiedeń.

Wtedy już, dzięki wielkiéj ilości pełnych życia i prawdy rysunków krążących po świecie, dzięki kilku kompozycyom wystawionym we Lwowie w zakładzie Ossolińskich, młody artysta zaczynał być znanym powszechnie. Ale zdobywszy wszystko, co talentowi dać może bezpośrednie zetknięcie się z naturą, zwyciężyć jeszcze należało techniczne trudności sztuki, zasilić samorodny talent na wzorach wielkich mistrzów.

To też co tylko ożeniony, Kossak z swą małżonką w r. 1855 wyjechał do Paryża i tam lat pięć przeszło pracował, ceniony przez Verneta jako znakomity talent, kochany jak przyjaciel.

Powróciwszy do kraju, ze sławą artysty pierwszorzędnego, Kossak objął artystyczny kierunek Tygodnika Illustrowanego, i prowadził go od 1862 do 1869 w którym to roku przeniósł się do Krakowa.

Celując przedewszystkiem w akwarellach, a choć konie są jego specyalnością, figury jednak i postacie ludzkie, krajobrazy za tło służące, zaszczyt by przynosiły każdemu malarzowi. Tez posądzenia o próżność powiedzieć można, że jako malarz koni Kossak jest jednym z trzech, lub czterech najznakomitszych europejskich malarzy, a jako akwarellista, liczy się do pierwszorzędnych.

Z licznych, a chciwie rozkupywanych dzieł jego wymienić w téj chwili możemy: „Stado ukraińskie“, „Pochód wojska“, „Polowanie“ na którym cała rodzina Dzieduszyckich pieszo, konno i na bryczkach jest przedstawiona. „Targ na konie na Pradze“, „Targ na konie na Kleparzu“, „Bitwa pod Custozzą“, „Mohort i książe Józef“, „polowanie na lisa.“

Jest to jednak zaledwie maleńka cząsteczka tych wszystkich arcydzieł, jakiemi w sile wieku będący teraz artysta kraj swój obdarzył.

Mazepa.

Grany niedawno na naszéj scenie dramat Słowackiego M a z e p a, nastręcza nam sposobność poznajomienia czytelników z historyą rycerza najwięcéj bodaj romantycznego w dziejach Polski. Genialny poeta dał utworowi swemu imię i charakter Mazepy; my zaś przedstawiamy życie bohatera takie, jakie było w rzeczywistości. (Przyp. Redak.)

Jan Mazepa był rodem ze wsi Mazepińce, niedaleko Białocerkwi na Ukrainie. W XVII stuleciu cała siła narodowości ruskiéj skupiła się w okolicach nad Dnieprem, z jednéj i z drugiéj strony téj rzeki, a ogniskiem jéj było Z a p o r o ż e. Od pierwszego najścia Tatarów na te prowincye gromady śmiałych obrońców rzuciły się w stepy i na brzegach Dniepru, w blizkości jego progów, w gęstych sitowiach i niedostępnych zasiekach założyły bezprzykładną dotąd w dziejach rzeczpospolitą wojenną, nazwaną późniéj S i c z ą z a p o r o ż s k ą. Przez kilka wieków Sicz utrzymała się i wzmacniała napływem coraz nowych przybyszów z krain ościennych, zachowując surowe przodków obyczaje i stanowiąc przedmurze Polski, przeciw Tatarom i Turkom. Gwałty i przewodzenia jakich się dopuszczali urzędnicy polscy, za panowania już Zygmunta i Władysława Wazów, kilkakrotnie Kozaków podburzyły. Nakoniec, po długich i krwawych z Polską zatargach, Bohdan Chmielnicki roku 1654 oddał się z całym ludem kozackim pod zwierzchnictwo monarchów moskiewskich.

Mazepowie pochodzili z téj właśnie części Ukrainy, która się styka z Zaporożem, gdzie, jak się zdaje, dziedziczne posiadali ziemie, chociaż żaden z historyków szlachty polskiéj w herbarzu o nich nie wspomina. Nie znamy bliżéj rodziców Jana Mazepy; wiadomo tylko, że

ojciec jego nazywa się Stefan, a matka Marya Magdalena. Trudno także oznaczyć z dokładnością czas urodzenia się jego; prawdopodobnie atoli przypada on około r. 1635. Jedyna siostra Jana, Aleksandra Mazepówna, oddaną została w małżeństwo najprzód Obidowskiemu, a potém Janowi Wojnarowskiemu, sędziemu kijowskiemu.

O pierwszych latach życia Mazepy nic zgoła nie wiadomo; spotykamy się z nim dopiero na dworze króla Jana Kazimierza. Jeden ze spółczesnych dziejopisarzów wspomina, że Jan Kazimierz, którego zwyczajem było wysyłać corocznie do cudzych krajów, w młodym bardzo wieku wyprawił Mazepę za granicę. Przypadek zdarzył, iż towarzyszem téj jego podróży był Marcin Kątski, który zasłynął później jako generał artyleryi, a umarł kasztelanem krakowskim. „Powróciwszy do Polski, powiada daléj tenże sam kronikarz, począł wojnę służyć, czekając dalszéj promocyi ale swawola przeszkodziła mu do honorów w Polsce.“

Nie wiadomo co nasz kronikarz rozumiał przez tę swawolę: czy miłostki, na jakich dorodnemu młodzianowi nie zbywało, czy kłótnie jego z pokojowcami Jana Kazimierza, na którego dworze przyjął służbę, i zatargi ze szlachtą czysto-polskiego pochodzenia; to jednak pewna, że król go lubił i że go używał do posług poufnych, najprzód osobistych, a późniéj i publicznych. W zajmujących pamiętnikach Jana Chryzostoma Paska znajdujemy opis zajścia jego z Mazepą na dworze królewskim. Rzecz tak się miała: wracającego od wojska hetmańskiego, skonfederowanego w Kielcach, Paska, Mazepa oskarżył przed królem o jakieś tajemne knowania „Zaczém król, mówi Pasek, uwierzywszy Mazepie, wysłał oddział wojska, który mię na drodze pojmawszy, do Grodna przyprowadził. Stawiony przed senatorami, przełożyłem moję i wojska krzywdę, i musiałem się odcinać senatorom, którzy na mnie różne inwektywy kładli.“ Nie wyszło wprawdzie to oskarzenie na złe Paskowi, i owszém sprowadziło nań łaski i zaszczyty, „ale przecie, powiada daléj humorystyczny kronikarz, na niego mruczno mi było, a zwłaszcza podpiłemu, bo wtenczas, jak to zwyczajnie, najbardziéj na oczy leżą wszystkie urazy. Jednego razu przyszedłem przed pokój, przed ten ostatni, gdzie król był; zastałem tam Mazepę; nie było, tylko kilku dworskich; przyszedłem wtedy dobrze podpiły i mówię do niego: „Czołem panie assawuło!“ On téż zaraz, jako to była sztuka napuszysta, odpowie: „czołem panie kapral!“ (z téj racyi, że mię to Niemcy wartowali w Grodnie); a ja, nie wiele myśląc, wyciąłem go pięścią w gębę, a potém odskoczyłem zaraz; on się porwał za rękojeść, ja téż także; dworscy skoczyli i wołają: „Stój, stój! bo król tu za drzwiami. Żaden dworski przy nim nie stanął, bo go téż nie bardzo nawidzili, że to był trochę szalbierz, a do tego Kozak niedawno nobilitowany *)“

Zawiadomiono króla o téj kłótni, a że to był pan umysłu spokojnego, i lubiący przedewszystkiem zgodę, kazał im się więc uściskać i przeprosić, mówiąc: „odpuście sobie z serca, boście już teraz obydwa sobie winni.“ Nastąpiło tedy powierzchowne pojednanie; zawsze jednak nasz szlachcic kontuszowy i przyszły hetman Kozaków, krzywo jakoś na siebie patrzyli. Nie podobało się już Mazepie życie dworskie, zatęsknił do stepów Ukrainy, a właśnie też w tym kraju zaszły ważne wypadki polityczne, otwierające szerokie dla ambicyi jego pole.

Jerzy, czyli Jurek Chmielnicki, syn Bohdana, zwycięzca Kalinowskiego pod Batowem, złożył godność hetmańską i wstąpił do zakonu, a osieroconą po nim buławę oddano Pawłowi Teterze. Umysły Zaporożców, po świetnem zwycięztwie pod Cudnowem, skłaniały się ku rzeczypospolitéj; trzeba więc było korzystać z takiego usposobienia. Było to na wiosnę roku 1663. Jan Kazimierz uznał Teterę i kazał wygotować w kancelaryi koronnéj mnóstwo listów i przywilejów, wysyłając z niemi na Ukrainę Mazepę Młody dworzanin, któremu w piaskach Mazowsza brakło już powietrza, rad był pohulać między jarami kijowskiemi.

Milsza, koniu! ziemia nasza,
Niźli piaski tu Mazowsza,
Oczakowska lepsza pasza,
I Dnieprowe wody zdrowsze.

. . . .
. . . .

Po co tutaj być mi paziem,
Gdy gdzieindziéj będę kniaziem.**)

Oprócz dokumentów i uniwersałów dla Zadnieprzan, wiózł także Mazepa i dla siebie przywiléj na starostwo budyskie, wakujące po niedawno zmarłym Janie Litoszyńskim; sprawiwszy się przeto z poselstwa pojechał do Budyszcz, z zamiarem gospodarowania tam sobie po szlachecku.***)

W sąsiectwie młodego posesyonata mieszkał niejaki pan Falibowski, człowiek już podżyły, a mający ładną bardzo żonę. Mazepa zaczął bywać w jego domu i jakoś się zdarzyło, że przyjeżdżał wtedy zawsze, gdy Falibowskiego nie było. Donieśli o tém panu domownicy; obrażony mąż udał wyjazd, i stanąwszy na czatach, niespodzianie zszedł kochanków Zemsta jego była dzika i okrutna, ujął Mazepę, kazał go rozebrać do naga i przywiązać na własnym jego koniu twarzą do ogona, ręce w opak, a nogi koniowi pod brzuch skrępowawszy; potém bachmata, dosyć z przyrodzenia bystrego, osieczono kańczugami i zerwawszy mu ze łba nadgłówek, kilka razy nad nim strzelono. Koń jak szalony skoczył ku domowi, przedzierając się gęstemi chrustami, przez głóg, leszczynę i ciernie, pędząc po manowcach, na których i z cuglem w ręku trudnaby była przeprawa; a cóż dopiero nagiemu i na grzbiecie uwiązanemu. „Gdy dzień nastał, mówi jeden z ówczesnych kronikarzów, przyniósł koń Mazepę do miasteczka, gdzie się było Rusi wiele zjechało na jarmark, którzy rozumieli, że djabeł jedzie, uciekali co żywo, wołając: dytko idet, księża ruscy powychodzili z żegnaniem; tymczasem koń dziki szwankował przez wozy skacząc, postronki się téż na nogach Mazepie zerwały i został stłuczony na ziemi****.)

Polko piękna! Polko hoża!
Wstecz nie płyną wody rzeki;
Twój kochanek z Zaporoża,
Już nie wróci na wiek wieki.

*) Wyrażenie to, niechęć zapewne osobista podyktowała panu Paskowi; wspomnieliśmy bowiem wyżéj, że Mazepowie byli szlachtą osiadłą, z któréj imieniem spotkać się już można za Zygmunta III, a przynajmniéj za jego synów.

**) Z dumki Józefa B. Zaleskiego.

***) Zdaje się, że falszem jest co przytacza Pasek, a co powtórzył Voltaire w dziejach Karola XII, że Mazepa wskutek wykrytego romansu z Falibowską uciekł za Dniepr. Miłostka ta miała miejsce dopiero po przesiedleniu się jego do Budyszcz.

****) Ta przygoda powtórnie romantyczna, posłużyła lordowi Byron za tkankę do jednego z najpiękniejszych poematów lirycznych. Podobnież Puszkin opiewał Mazepę, a Tadeusz Bułharyn na osnowie jego dziejów, ułożył powieść historyczną.

ROZMAITOŚCI.

(Fabryka piór stalowych. Z ryciną.) Pióro to, małe i na pozór niewinne narzędzie, jakże wielkiéj jest doniosłości! Tysiące genialnych idei, wynalazków, uczuć, słowem wszystkie produkcye ducha ludzkiego za pomocą pióra, światu i potomności komunikują się. Stoi ono na równéj wysokości z potężnym wynalazkiem Gutenberga, bo druk bez pośrednictwa pióra nie dawałby tych korzyści, jakie dziś daje. Przed niedawnemi jeszcze czasy, używano do pisania piór gęsich, ale niedogodności jakie pociąga ich przygotowanie sprawiły, że pomyślano o zastąpieniu piórami z kości słoniowéj lub metalu. Po wielu usiłowaniach zdołano wreszcie piórom metalowym nadać sprężystość zbliżającą się do gęsich, a tem samem zapewnić im powszechne użycie.

Perry w Londynie wynalazł pierwszy sposób rozszczepywania piór stalowych i uczynił przez to krok stanowczy na téj drodze, chociaż pióra stalowe dla początkujących i do pięknego pisania nie mogą być zalecane, jednakże z przyczyny dogodności w użyciu, tudzież dla wielkiéj taniości w porównaniu z dobremi piórami gęsiemi, weszły dzisiaj w powszechne użycie. Gatunki piór stalowych są nadzwyczaj rozmaite, ze względu na dobroć stali na nie użytéj, twardość, kształt i t. d. Aby pióra dłużéj służyć mogły do pisania, należy używać atramentu bez kwasu, tudzież po skończeniu wycierać je gałgankiem maczanym w olejku terpetynowym. Dawniéj wyrabiano pióra stalowe wyłącznie w Anglii, obecnie dostarcza je także Francya, Ameryka Półn. i Niemcy. Rycina załączona przedstawia jedną z takich fabryk, która prawie wyłącznie przez kobiety jest obsługiwaną. Nowe to źródło pracy samodzielnéj dla płci niewieściéj, a że źródło obfite to, przekonać powinny miliardy piór rok rocznie w Europie z użytych.

List Władysława Syrokomli do Augusta Wilkońskiego*).

Załucze, dnia 4/16 lipca 1851.

Zacny Panie Auguście!

Niegodziwie wypłacam się za nieocenioną Twą dobroć, gdy listowi Twemu daję leżeć bez odpowiedzi przez trzy miesiące. Podróże, praca, niezdrowie, nadzieja zawiedziona, że Was w Warszawie odwiedzę, przykre wrażenia jakie się od kiepskiego świata odbierały — oto przyczyna dla której moi dobrzy korrespondenci musieli tęsknić (sic) tak długo za mojemi listy. Teraz za to, wynagrodzę sobie dobrowolnie zaniedbaną przyjemność, a Wam zacny Panie aż do uprzykrzenia gadatliwe listy posyłać będę. A naprzód poznajomić się nam lepiéj wypada.

Wielkie serce, złoty humor, przygody życia Twojego to wszystkiego było mi już nieco znane z Ramotek, z opowiadań Kraszewskiego i Xawerego Blum'a (ucznia Agronom. Instyt. w Marymoncie) mojego teraz sąsiada. Teraz w Mińsku poznałem się z Dybowskim, agronomem, dobrym Twym znajomym, który uprzyjemniał mi cały wieczor opowiadaniem o Tobie, Twéj małżonce, niedawnéj przygodzie Twéj itd. Do tylu danych, dodawszy mój instynkt poetycki, cóż za dziw, że Was poznam w gromadzie tysiąca ludzi. Pozostaje mi teraz zaspokoić twoją chęć dowiedzenia się o mnie, moim domu; dziatwie. Oto urodziłem się w r. 1822, odbyłem wychowanie w szkołach prowincyonalnych, potem wałęsałem się po drodze żywota lat kilka, potem się w r. 1844 ożeniłem, jednoczasowie wziąłem w rękę to oto pióro (szczęście moje..... zgubę moją!) i osiadłem stale na wsi, dzierżawiąc od Xcia Wittgensteina Załucze. W przeciągu tych lat ośmiu, Bóg dobry dał mi napisać z dziesiątek tomów, udarował trojgiem dzieci i 350 rublami srebrnemi czystego zysku z honorariów xięgarskich, które składają cały mój majątek; bo reszta mych kapitałów w pracy, w nadziei, w gruszkach na wierzbie i t. p. zabezpieczeniach, w téj chwili nie jest do zrealizowania na gotowiznę. Żyjemy w ciszy, z książkami, z kwiatami, z dziatwą, z dobremi ludźmi, i ze świętą golizną, którą pojmuję z jéj wdzięcznéj, poetycznéj strony, tak dalece, że ile razy fortuna drogą sukcessyi po wujaszku, lub sowitszego honorarium, błyśnie mi przyjaźniéj w oczy, staram się korzystać z jéj darów zawzięcie, aż nim wrócę do mojego normalnego stanu finansów, do zera, które jest figurą globu, symbolem wieczności, aureolą mojego oblicza, czarodziejskiem kołem (circulus vitiosus) w którego środku stoję bezpieczen od pokus, pychy, egoizmu, lenistwa. Z konieczności tedy jestem cnotliwym, lubo niektóre grzeszki, a przedewszystkiem święte lenistwo bardzo się ponętnie do mnie uśmiechają. Nieraz wyobrażam sobie, że jestem wielkim panem, nic nie robię, jeno leżąc pod cieniem klonu, z hawańskiem cygaro, czytam od poczty do poczty gazety, żurnale, romanse; a jeżeli raczę pióro wziąść do ręki, to tylko dla pisania miłych dla serca, przyjaznych listów... (o! wtedy miałbyś Pan co tydzień list odemnie) tylko dla wylewania na papier poetyckich pomysłów. Takie to marzenia nieraz się do mnie wdzięczą, ale nic z tego... wiem czyje to figle... Spiriantus! i za dykcyonarz łaciński i do pracy, a duch kusiciel znika. Ale wracam do dalszego kreślenia obrazu mojego żywota. Żona moja kilku laty młodsza odemnie, z całą rezygnacyą znosi swą godność — żony poety, i w dobréj wierze upaja się dymkiem chwały swojego mężula. Wprawdzie wymyka się jak może, ilekroć z jakim gotowym utworem staję dla odczytania go, ale raz złapana gotowa cierpliwie wysłuchać a nawet sama deklamować moje gawędy; tego tylko w głowie pomieścić nie może, dla czego pisarz tak wzięty, tak pochwalany, tak małe bierze honoraria. Trudna na to odpowiedź.... słusznie czy niesłusznie trzeba jęczeć na chciwość nakładców, bo inaczéj we własnym domu zachwieje się wiara w potęgę mojego talentu; dalszemi personażami naszéj rodziny są: córka Marynia, panna lat 4½, dobrze już składająca syllaby, syn Władysław, 3 letni kawaler, rokujący iż z laty będzie ozdobą Mirskich jarmarków, dla zamiłowania koni, psów, biczow — a naostatek, półroczne niemowlę Wiktorya, wzór łagodności, ciszy i słodyczy charakteru. Otóż wśród tych osób rozegrywa się dramat mojego życia. Rzecz dzieje się na wsi, w moim gabinecie do pracy, albo w ogródku kwiatowym, na drugim planie widać kuchnię, z której wrzaski przeszkadzają mi pracować i marzyć — stodołę co mi nie daje chleba, — i ojciec Niemen pasterz mnogich łodzi, którego kryształowa fala, niewyczerpanie udziela się do herbaty co jéj taką ilość pochłaniam. Słowiki Nadniemeńskie z towarzyszeniem chrapliwego chruściela śpiewają mi w antraktach — oto ze wszystkiemi dekoracyami teatr, gdzie się moja drama odegrywa. Kurtyna się zwija:

Sza!! uroczyste milczenie...
Patrzajcie zdumione ludy!
Oto poeta na scenie,
Zgarbiony, blady i chudy —
Ubrany w kapotę starą,
Zwolennik myśli i ducha.
Pióro mu sterczy z zaucha,
W ustach groszowe cygaro,
Ręce krzyżuje u łona,
Pierś atramentem zbroczona....
Skinął i stanął jak wryty,
Wzniosła się orla zrzenica,
Mierzy niebieskie błękity,
Gapi się w tarczy xiężyca.
Jak Hamlet spojrzał ukosem,
Śmieje się, żżyma się, sroży,
Sza.. coś zamruczał pod nosem
O! arcydzieło utworzy!
Bije myślami śmiałemi
Szturm do nieba i do ziemi.
Cóż to? dla czego twarz młoda
W fałdy gniewliwe się zbiera?
Rymu skalista przegroda
Wstrzymała pęd bohatera....
Chce mówić i głos podnosi,
Lecz mu coś więźnie we krtani, —
Wieszcz się z końcówką tormosi...
Plaudite cives Romani!

Oceniam szlachetne pobudki wdzięczności, któremi powodowany, nie chcesz abyśmy z przekąsem mowili o Rzew., ale nigdy nie uwierzę abyś miał podzielać jego religijno-socyalne zasady, owszém każdego ktoby coś podobnego przedemną dowodził, wyzwę na rękę. Dla dobra waszego Dziennika proszę zaniechajcie wywoływać kwestye zadaniowe, młodzież nie wytrzyma, wyrwie się z reputacyami, które zaprowadzą krytyków tam gdzie Ant. S., wywołają prześladowania jak te, których doznali nasi kijowscy Gwiazdziści. Mając za sobą jus gladii, pytam, czy to delikatnie, czy sumiennie drażnić biedną zwierzynę, aby sama szła do sieci? Ile słyszałem o Was obu, nie wątpię że Pan August wywiera wpływ na Hr.; niech go uprosi aby nieigrał z powszechnem oburzeniem, dowodząc rzeczy, na które nikt się dziś pisać nie może. Składacie jedną redakcyę — wszakże pewnego rodzaju solidarna odpowiedzialność ciąży na wszystkich członkach ciała. Czy płodne, genialne pióro Autora Soplicy nie może się zdobyć na co innego, jak na wiekuiste piosenki z Bejłowskiego tematu? Przebacz mi te uwagi, które idą ze szczerego serca, z miłości prawdy — żegnaj i kochaj mię Syrokomlę.

Całem mojem domowem gronem zasyłamy Państwu uprzejme, życzliwe powitanie i polecamy nas dobréj Ich pamięci.

Syrokomla.

*) List ten pełen humoru przedstawiający domowe pożycie piewcy litewskiego, otrzymaliśmy z rąk znanéj powieściopisarki Pani Pauliny Wilkońskiéj, małżonki autora Ramotek Augusta Wilkońskiego. Mówiono nam, że przed dziesięciu laty list ten był już drukowany w jednym z pism Wielkopolskich — niemniéj jednak szerszemu kołu Publiczności nie jest znany i dla tego nie wahaliśmy się w całości go tu przytoczyć. Przy téj sposobności składamy publiczne podziękowanie zaszczytnie znanéj autorce i właścicielce listu za łaskawą ofiarę i względy, jakiemi niejednokrotnie pismo nasze zaszczycić raczyła. (Przyp. Red.)

Szarada.

Trzy litery w alfabecie,
Na przodzie słowa znajdziecie.
Czwartą zgłoskę mumia chowa,
Gdy jéj zostanie połowa.
Wszystko razem, światło sieje,
Że zgadniecie mam nadzieję.

(Rozwiązanie szarady w nr. 28: ***Panorama***.)

Korespondencya Redakcyi.

Pannie Urieli w Ustroniu. Wierszyk do T. R. jest pełen niekłamanego uczucia i nosi na sobie cechę lirycznéj miękkości, jaka tylko z pod ręki kobiecéj wyjść może. Nieco późniéj zamieścimy go w piśmie naszém. Panu Mielc. w Dobrzycy: Brawo! Panu Lant. w Mixtat. Wydaje się nam zbyt łatwe i z tego względu drukowane nie będą. P. H. H. w I. Posiadamy dziś dosyć trefnisiów bezpłatnie, by na wzór dawnych, żądać oni mogli wynadgrodzenia.

Od Redakcyi. W numerze przeszłym, przez omyłkę drukarską wkradł się błąd przy tytule „Słów kilka o malarstwie itd." W miejscu „dokończenie", czytaj „ciąg dalszy."